



Wojciech Świdziniewski  
Maja Lidia Kossakowska  
Jarosław Grzędowicz  
Krzysztof Kochański  
Alexandra Pavelková  
Andrzej Drzewiński  
Andrzej Ziemiański  
Łukasz Orbitowski  
Andrzej Sapkowski  
Szczepan Twardoch  
Alastair Reynolds  
Eugeniusz Dębski  
Tomasz Pacyński  
Robert J. Szmidt  
Milena Wójtowicz  
Miroslav Žamboch  
Magdalena Kozak  
Witold Jabłoński  
Andrzej Pilipiuk  
Andrzej Zimniak  
Jewgienij Łukin  
Aneta Jadowska  
Anna Brzezińska  
Romald Pawlak  
Rafał W. Orkan  
Marcin Mortka  
John Everson  
Adam Cebula  
Kirył Jeskow  
Jacek Inglot  
Jacek Dukaj  
Ondřej Neff

## **ONI JUŻ U NAS BYLI, A TY?**

Fahrenheit to najstarsze polskie czasopismo internetowe poświęcone literaturze fantastycznej. Znajdziesz tutaj uznanych autorów oraz debiutantów, ich opowiadania, powieści, publicystykę, a także recenzje, quizy i aktualności.

**[www.fahrenheit.net.pl](http://www.fahrenheit.net.pl)**



Ikona z X w. przedstawiająca Abgara V z mandylionem, źródło ilustracji: Wikipedia

Czy da się rozbić atom za pomocą młotka? Nie jestem wcale pewien, ilu ludzi zaprzeczy. Podejrzewam, że obecnie całkiem spora część tych nawet dobrze wykształconych podrapie się w głowę. Ponieważ podrapałem się i ja. Na wszelki wypadek, lecz jednak grzebałem w sieci, szukając „efektu piezojądrowego”. Skąd taki pomysł? Podobno w trakcie trzęsienia ziemi po śmierci Jezusa miała nastąpić silna emisja neutronów, podobno to ona ma być odpowiedzialna za powstanie słynnego wizerunku na Całunie Turyńskim.

Tymczasem z punktu widzenia współczesnej fizyki te neutrony nie mają się skąd wziąć. Wpadłbyś na pomysł, że na skutek uderzenia woda zmieni się w mieszaninę tlenu i wodoru? Albo że na skutek walenia w młotem w rudę żelaza wygonimy z niej tlen i zostanie sam metal? To mniej więcej podobny pomysł.

Nawet ma szansę na realizację, o ile nie chodzi o neutrony, ale o żelazo. Gdybyśmy rozpędzili nasz młot do prędkości w okolicy 4 kilometrów na sekundę, to dostarczyłby dość energii cząsteczkom związków chemicznych, by rozerwać wiązania. Co prawda tak zwane neutrony termiczne, które w reaktorze jądrowym wywołują rozpad jąder, mają energie ruchu postępowego bardzo małe, ale też działają nie jak młotek, tylko jak ładunek wybuchowy. Energie potrzebne do wywołania reakcji jądrowej są na oko jakieś milion razy większe niż te występujące w procesach chemicznych. Młotek, którym chcielibyśmy robić jądro, musiałby się poruszać tysiąc razy szybciej niż ten, który rozbija substancje chemiczne na pierwiastki.

To dlatego podszedłem do informacji o neutronach lecących z ziemi podczas trzęsienia z wielkim sceptycyzmem. W zasadzie pomysł można odrzucić jako niedorzeczny, ale dobrze jest sprawdzić, czy nie chodzi tu o jakieś zawiłe zjawiska albo czy czasem czegoś nie pomyłono. Owszem, istnieje zjawisko wydobywania się radonu, który znajduje się w różnych minerałach, i na skutek mechanicznego oddziaływania, np. skruszenia kamieni, może on zostać uwolniony.

Kwerenda po necie z użyciem kilku wyszukiwarek przyniosła trochę niespodziewany efekt: zbitka słów „emisja neutronów” i „trzęsienie ziemi” pojawia się tylko w kontekście Całunu Turyńskiego. Sądziłem, że coś pokrecono, że gdzieś obserwowano podobne zjawiska – ale nie. Wygląda na to, że to autorski pomysł „całunologów”.

Prawdopodobnym tropem wyjaśnienia, skąd się to wzięło, jest to słówko „piezojadrowy” (efekt). Tylko że chodzi o ściskanie w warunkach panujących w na przykład we wnętrzu Słońca, a nie podczas trzęsienia ziemi.

Konkluzja może dotyczyć tego, jak to jest naprawdę z badaniem różnych fenomenów, jakie bardzo chętnie nawiedzają pierwsze strony różnych, jak się dziś mówi, publikatorów. Czytamy o tym, że bierze się za nie grupa specjalistów, po czym, jak się dowiadujemy, co ci spece chcieli, to szczęka nam opada.

Całun Turyński prawdopodobnie z prawdziwymi badaniami naukowymi – chyba to jest najlepsze określenie – zderzył się dwa razy. Za pierwszym razem to była ekipa kościelna, i jak się zdaje, ustaliła coś, co się dobrze pokrywa z tym, co wybadali naukowcy za drugim podejściem. Pierwsze dochodzenie prowadził biskup d’Arcis Memp i wiemy, że ustalił, kto zamówił płótno, znalazł też tego, kto je wykonał, i dowiedział się jak. Czemu tego nie opisał? Bo najpewniej wydało mu się to zupełnie nieistotne. W każdym razie rezultat był jasny: nic cudownego, dzieło ludzkiego pomysłu i rąk.

Rzecz dość charakterystyczna, że początki Całunu Turyńskiego są zazwyczaj opisywane dość... skromnie. Tymczasem, jak się mi wydaje, zapoznanie się z tą dość dobrze zrekonstruowaną historią jest pouczające. Czemuż to biskup, miast radośnie pobłogosławić cudowny przedmiot, który pojawił się w okolicy, okazał się tak podejrzliwy? Wszak zgodnie z rzymską zasadą qui bono, miał bono, aby relikwia się dobrze prezentowała, a nie odwrotnie. Z pielgrzymów i datków, jakimi sypią do dnia dzisiejszego, i biskupowi powinno się sporo dostać. Więc?

Mamy rok 1537. Kanonicy z kościółka w Lirey nieopodal Troyes we Francji wystawili na pokaz słynne dziś płótno. Biskup z pobliskiego Troyes, Henri de Poitiers, irytuje się. Nie poproszono go o zgodę. Bynajmniej chyba nie chodzi o urażoną dumę. Gdy pojawia się tak mocna relikwia, to zdałyby się jakieś wyjaśnienia: skąd, od kogo, jaką miała historię. Biskup najprawdopodobniej – analizując bieg zdarzeń – podejrzewa, że przeszłość cudownego artefaktu skryją mroki nieprzeniknionej niewiedzy. Podejrzewa to, co najprostsze: żadnej przeszłości nie ma, bo relikwię sfabrykowano niedawno.

Można zadać pytanie: a nie byłoby politycznie przymknąć oko? Wszak mamy i zyski etyczne – płótno wzmocni wiarę. Zaś odwrotnie, nagłośnienie sprytu wystawienników zadziała przeciwnie. Czemuż to nasz purpurat był tak pryncypialny? Możemy jedynie podejrzewać, ale powód każdemu, kto na religię chodził, sam się nasuwa: bałwochwalstwo. Oddawanie czci przedmiotom, samodzielnie wykonanym bałwanom czy cielcom. Rzecz ma głębsze teologiczne uzasadnienie. Lecz zostawmy je dla tych bywalców lekcji religii.

Rozsierdzony purpurat ma mocny i obowiązujący do dziś argument: tego płótna nie ma ani w Ewangeliach, ani w tradycji Kościoła katolickiego. Z pewnością wiedział o słynnym mandylionie, który miał być przechowywany w Konstantynopolu, i z którym dziś usiłuje się utożsamić Całun Turyński. Lecz najwyraźniej podzielał opinię współczesnych historyków, że to nie może być to. Mandylion miał być wizerunkiem żywego Chrystusa, uczynionym przez niego dla Abgara V, władcy Edessy. Płótno to miało nosić obraz samej głowy Jezusa.

Problem, czy coś jest autentyczne, jest chyba podstawowym w przypadku relikwii. Zaś upływ czasu i przychodzące z nim wydarzenia powodują, że kłopoty mamy z przedmiotami zdawałoby się znakomicie udokumentowanymi. Oczywiście problem, czy istniał ów veraikon, jest niesłychanie trudny do rozstrzygnięcia, ponieważ o początkach chrześcijaństwa wiemy naprawdę mało. Ale mieliśmy uważaną za oryginał chustę św Weroniki (patronki także fotografów!) – artefakt z dość dobrze znaną historią.

W VI w. była nazywana Chustą z Kamulii, gdyż przechowywano ją w tym kapadockim

mieście. W 574 r. została przeniesiona do Konstantynopola (za Wikipedią). Zapewne (może jednak wcześniej?) podczas Sacco di Roma w 1527 r., czyli złupieniu Rzymu przez niemiecko-hiszpańskie wojska Karola V, chusta została wywieziona z Rzymu. Co dalej? Całun z Manoppello.

Być może w Manupello znajduje się właśnie TA chusta. A może inna... [Nie wiemy, jak relikwia tam dotarła.](#)

Ta historia ilustruje, czego biskup Henri de Poitiers oczekiwał w momencie pojawienia się całunu. Relikwia powinna mieć długą historię, powinny zostać przedstawione dokumenty albo świadkowie świadczący, skąd pochodzi. W przypadku naszej chusty wystarczyłaby zgodność z wcześniejszymi opisami. Skoro taki przedmiot istniał, jeśli nawet odnajdujemy go w dziwnych okolicznościach, to mamy prawo sądzić, że gdy wygląda, jak powinien, jest TYM. W przypadku całunu istnieje nawet wyraźna niezgodność z biblijnym przekazem, tradycją i wiedzą historyczną, a nawet innymi relikwiami. Chusta z Oviedo jest uznawana za „sudarium, w które zawinięto w grobie głowę Jezusa Chrystusa, o czym opowiadają Ewangelia Łukasza[1], Ewangelia Mateusza[2], Ewangelia Marka[3] i Ewangelia Jana[4]” (za Wikipedią). Tak więc owa chusta, która jest po prostu poplamionym krwią płótnem, i Całun Turyński, na którym mamy także wizerunek twarzy, tworzą już niepokojące dwa grzyby w barszczu. Jakże to tak, tu mamy oblicze, tam tylko plamy krwi? Tym bardziej niepokojące, że całun musiał w takim razie spowijać całe ciało, co wydaje się niezgodne ówczesnym obyczajem. Co zresztą potwierdza odkrycie grobowca z I w n.e. w dolinie Hinnon. Twarz zmarłego była przykrywana osobnym kawałkiem materiału.

Powodów do podjęcia dochodzenia było aż nadto. Poza Całunem Turyńskim wiemy o przynajmniej czterech tego typu relikwiach i wszystkie one miały długą historię oraz odpowiednią sławę. W owych (rok 1537) czasach całun pojawia się jak królik z kapelusza.

Nabywcą - czy też zdobywcą lub właścicielem - tkaniny miał być rycerz Geoffrey de Charny, fundator kościoła w Lirey. Mógł on w jakiś sposób uwiarygodnić artefakt, opowiadając historię jego pozyskania. Lecz zachowały się dokumenty, w których powinien być on wymieniony, gdyby tak było, gdyby faktycznie ów woj go jakoś posiadł... a nic w nich nie ma. Co wskazuje, że całun pojawił się już po jego śmierci. Za czym staraniem? Joanna de Vergy, wdowa po dzielnym rycerzu Godfrydzie de Charney, była jego pierwszym właścicielem. I miała kłopoty finansowe oraz - co jest ponoć niezłe udokumentowane - sprzedawała pamiątkowe medale z okazji pierwszego pokazu.

Otóż, jak twierdzą obrońcy autentyczności Całunu Turyńskiego, nie zachowały się żadne dokumenty ze śledztwa, jakie podjął na takowe dictum biskup Henri de Poitiers. Wszystko, co wiemy, to kilka zdań z listu (memorandum), który jego następca, biskup Pierre d'Arcis, skierował do awiniońskiego antypapieża Klemensa VII. Pozwolę sobie zacytować za artykułem [„Całun Turyński - fałszerstwo \(nie\)dokonane cz. 3”](#) Otóż: „Jakiś czas temu dziekan pewnego kościoła kolegiackiego w diecezji Troyes, to jest kościoła w Lirey, kierując się chciwością i nie powodując się w żadnym stopniu pobożnością, lecz tylko chęcią zysku, w sposób pełen fałszu i z zamiarem oszustwa wystarał się dla swojego kościoła o pewne płótno chytrze namalowane, na którym za pomocą pewnej sztuczki szalbierskiej przedstawiono podwójne wyobrażenie mężczyzny, to jest przód i tył ciała, utrzymując przy tym fałszywie, że jest to prawdziwy całun, w który nasz Zbawiciel Jezus Chrystus został owinięty przed złożeniem do grobu, i na którym podobizna całej postaci Zbawiciela jest odcisnięta wraz ze śladami Jego ran. Tę opowieść rozgłoszono nie tylko w królestwie Francji, ale, rzec można śmiało, w całym świecie, tak że ze wszystkich stron przybywali ludzie, aby

to płótno zobaczyć. Nie poprzestano na tym, i by zwabić jak największe tłumy ludzi i wycisnąć z nich chytrze pieniądze, postarano się o rzekome cuda: w tym celu wynajęto pewnych ludzi, aby głosili, że zostali uzdrowieni w czasie publicznego pokazu całunu, który w opinii wszystkich miał być całunem naszego Pana. Świętej pamięci pan Henryk z Poitiers, biskup Troyes, dowiedziawszy się o tym i przynaglany przez różne roztropne osoby do podjęcia jakichś kroków, co w końcu należało do jego obowiązków wynikających ze zwyczajnej jurysdykcji, zabrał się gorliwie do badania całej sprawy i wykrycia prawdy. W końcu po wnikliwym dochodzeniu i badaniach wykrył szalbierstwo oraz sposób, w jaki wspomniane płótno zostało chytrze pomalowane, prawdę poświadczył zaś ten artysta, który je namalował, a mianowicie, że nie było ono uczynione w sposób cudowny, ani też nam zesłane, lecz było dziełem ludzkiej umiejętności...”

Cały tekst dostępny w necie liczy znaków 2 tysiące i niepokojące 666. Bynajmniej nie zostawia żadnych wątpliwości co do zdania piszącego.

Warto poczytać o tej historii pojawienia się cudownego płótna. [Na przykład tu:](#)

Nie jest to historia z gatunku płaszcza i szpady, ale raczej dziwnie przypominająca współczesne afery gospodarcze. Pojawia się tam wdowa po dzielnym rycerzu, jej wnuczka, rodzinne powiązania z papieżem, mamy w sumie trzy śledztwa zakończone tym samym werdyktem. Przy czym chyba jedynie pierwsze było „naukowe”, następne raczej „prawnicze”, lecz dobrze wiedzieć, że przez dobre kilkadziesiąt lat istniała pełna „jasność w temacie”. Prześledzimy też proces stopniowego uwiarygadniania się relikwii. Cóż, w końcu stała się dość stara by podchodzić do niej z szacunkiem...

Sława całunu zaczęła rosnąć dość niespodziewanie w końcówce wieku XIX. Secondo Pia wykonał zdjęcia płótna i na negatywach (podaje się tu datę 28 maja 1898 r.) zobaczył pozytywną twarz Jezusa. Doznał szoku, ponieważ odwrócenie waloru dało bardzo realistyczny obraz. Zapewne pod wpływem tego odkrycia wzrosło zainteresowanie płótnem. Yves Delage przedstawił w odczycie dla Akademii Francuskiej 21 kwietnia 1902 roku wyniki swych badań. Stwierdził, że zachowany wizerunek nie jest malowidłem, że nie ma zniekształceń wynikających z perspektywy, że jest to rzeczywiste odbicie martwego człowieka. Sława całunu rosła, kolejne badania potwierdzały jego autentyczność, znaleziono pyłki roślin z Palestyny, ślady krwi, potwierdzono zgodny z anatomią rozkład odcisków – aż do roku 1988, w którym arcybiskup Anastazio Ballestrero zgodził się na datowanie relikwii metodą węgla C14. Trzy laboratoria dały bardzo zbieżny wynik: płótno powstało pomiędzy latami 1260 a 1390.

Osobną sprawą jest awantura, jaka rozgorzała wokół tego wyniku – można w necie sobie to poczytać. Wyciągnięto szereg argumentów ciężkiego kalibru przeciw wynikowi. Wiele z nich jest klasy owego promieniowania neutronowego wzbudzonego trzęsieniem ziemi. Np. zanieczyszczenia są zawsze problemem w datowaniu, lecz przede wszystkim sama zasada określania czasu półrozpadu izotopu dość skutecznie ogranicza ich wpływ, ale poza tym przecież opanowanie techniki określania wieku taką metodą wymaga właśnie znalezienia sposobów na skuteczne pozbycie się kontaminacji. Gdyby metoda była do kitu, setki tysięcy datowań często prowadzonych w jeszcze bardziej niesprzyjających okolicznościach byłoby funta kłaków warte.

Trudno powiedzieć, czy to był ten moment, gdy słynnej tkaninie zaczęli się przyglądać sceptycy – ale w końcu zaczęli. Cóż...

Odkryli trochę niepokojących faktów. Na przykład brak pyłków oliwki. Pyłki powinny się znaleźć w dużej ilości, jeśli płótno „bywało” w Palestynie. Przyjrzano się też plamom krwi. Te są ciągle czerwone, a krew powinna szernieć. Ponoć to skutek obecności bilirubiny,



lecz znaleziono też czerwony pigment malarski.

Nie, to nie odcisk człowieka, ponieważ nie zgadzają się proporcje. Każdy, kto uczył się rysunku, zauważy np. za wysokie umieszczenie oczodołów. Oczy powinny się znaleźć w połowie wysokości twarzy. Niewłaściwe są proporcje rąk i nóg, widać charakterystycznie długie palce. Cecha wyróżniająca sztuki średniowiecznej.

Słowo już się rzekło: [znaleziono całun grobowy z okolic I wieku n.e.](#)

Wygląda on zupełnie inaczej niż Całun Turyński. Przede wszystkim składa się przynajmniej z dwóch kawałków: jak wyżej napisałem, osobnym przykrywano twarz zmarłego. Był to istotny szczegół, ponieważ ten zabieg pozwalał uratować życie człowieka w letargu. Mógł zdmuchnąć chustę i wzywać pomocy. Nie mógł się sam wydostać, ponieważ zmarłych krępowano zawojami. Jak możemy wyczytać w różnych źródłach, nie zgadza się zupełnie splot tkaniny. W czasach Chrystusa stosowano proste wzory, słynny z Całunu Turyńskiego splot jodełkowy jest charakterystyczny dla okolic X stulecia.

Ludzie zaczęli samodzielnie kombinować. Kochani, nie zgadzają się nam trzy, cztery metody datowania Całunu. A naprawdę zgadzają się ze sobą! Dane spisane wskazują na średniowiecze, analiza odcisku wskazuje na cechy średniowiecznej sztuki, cechy tkaniny, wreszcie datowanie radiowęglowe, wszystko to mówi, że średniowiecze.

No dobrze, odpowiadają całuniści, lecz cóż to wszystko wobec faktu cudowności wizerunku, którego powstania nauka, mimo tylu wysiłków nie potrafi wyjaśnić?

Ekhem... tiaaa...

Jak się zdaje, właściwie każdemu zdarzyło się uzyskać efekt Całunu Turyńskiego - i niestety prawie na pewno nie skutkowało to podniosłym nastrojem. Prawie każdy musiał kląć brzydkimi słowy, gdy przysmędził żelazkiem jakąś cenną część garderoby. Bynajmniej: nie jest potrzebna pewność, że dokładnie tak Całun powstał. Tym niemniej w necie możemy znaleźć trochę relacji różnych eksperymentatorów, którzy uzyskali tą metodą bardzo dobre wyniki. Wbrew temu, co znalazłem w żarliwych filipikach pisanych w obronie autentyczności całunu, wystarczy, gdy wiemy, że „jakoś tak”. Metoda czy technologia nie musi odwzorować wszystkich właściwości całunu. A to dlatego, że nie wiemy dokładnie, jakie przechodził koleje losu. Odkrycie na tkaninie śladów biologicznych, np. krwi, nie oznacza nic więcej niż to, że całun nią pomazano czy pochlapano. Czy celowo, czy przypadkiem - nie sposób ustalić. Inna sprawa, że krwi tam nie znaleziono.

Z braku łatwego i kontrolowanego dostępu do artefaktu nie można do końca wierzyć ustaleniom na jego temat. Wiele wskazuje, że kolejne „bardzo naukowe” i „niezwykle kompetentne” zespoły, jakie miały się nim zajmować, miały charakter naszej komisji smoleńskiej. Z tej przyczyny nie bardzo wiadomo, czym należy się przejmować. Być może faktycznie jest tak, że - dajmy na to - nadpalenia płótna świecą w ultrafiolecie, a wizerunek nie. Ale być może tak to widzieli „eksperci”.

Dlatego wystarczy, jeśli wiemy, że bardzo podobny efekt da wyprasowanie gorącym żelazkiem płaskorzeźby. Mamy efekt zabarwienia włókien tkaniny jedynie na powierzchni, braku śladów użycia pędzla, efekt negatywu oraz bardzo podobny obraz śladów w dużym powiększeniu.

I to było by na tyle. Problem z kuglarstwem jest taki, że gdy się dowiemy, w jaki sposób magik wyciąga królika z kapelusza, ostaje się tylko rozczarowanie. Jak wygrzebali współcześnie niewierni Tomasz, w mieście Troyes handlowano starym płótnem, byli tam rzemieślnicy trudniący się między innymi wyrobem pieczęci. Możemy gdybać i domniemać, czemu ktoś wybrał taką właśnie metodę, czemu chciał uzyskać taki efekt. Lecz nie trzeba wielkiej wiedzy, by uświadomić sobie, że ktoś średnio biegły w snycerze mógł bez kłopotu

wykonać wzór np. w glinie, że niepotrzebna była do tego żadna specjalna wiedza, najwyżej kilka prób, by wykonać wizerunek. Szczegóły nie są już ważne. Może użyto kilku zmoczonych warstw materiału jako podkładu, by uzyskać efekt „cieniowania”, może to wyszło samo. Nie trzeba też wielkiej wyobraźni, żeby zrozumieć, że motywacja do pracy była ogromna. Że bynajmniej nie był to akt szczególny czy świętokradzki, jeśli wziąć pod uwagę rozmiar handlu relikwiami, który trwa do naszych czasów.

Nic nie wskazuje, by Całun Turyński był czymkolwiek więcej niż tym, co wynikało z dochodzeń kościelnych dostojników, czyli jedną z licznych sfalszowanych relikwii. Nie ma żadnych znamion niezwykłości ani tylko autentyczności. Jedyne, co wynika z tej historii, to możliwość zanalizowania procesu budowania się legendy wokół całkiem zwykłych zjawisk, historii czy przedmiotów. Jedną z charakterystycznych cech jest to, że zaczyna się od sytuacji zupełnie jasnej. Nawet jeśli są jakieś wątpliwości, to będąc początkowo na marginesie, narastają z czasem. Wreszcie początkowo oczywista historia okazuje się albo zupełnie nie do wyjaśnienia, albo początkowo nie ma w sobie nic niezwykłego, dopiero z biegiem lat staje się się kompletnie nadprzyrodzona.

Z czasem do każdej historii, która wydaje się dość atrakcyjna, dokleją się kolejne. Na przykład do upadku balonu meteorologicznego w Roswell mamy niezbyt udany filmik z sekcji zwłok kosmitów. Wcześniej pojawiły się zeznania świadków, którzy widzieli na miejscu coś, co miało wyglądać na statek obcej cywilizacji. Dziś wiemy o tej historii niemal wszystko, potrafimy powiedzieć, skąd pochodziła taśma klejąca, która zostawiała wyglądające na pismo kosmitów ślady na listewkach konstrukcji balonu. Tak, statek kosmiczny był z listewek. Niczego to jednak nie zmienia – to kosmici i basta!

Im dalej od zakończenia II wojny światowej, im więcej wiemy na jej temat, i tym więcej fantastycznych teorii o podziemiach zbudowanych przez hitlerowców w pobliżu Ludwikowic Kłodzkich. Dokładnie to samo się dzieje się w przypadku Całunu Turyńskiego. Zapewne w syndologii – czyli nauce o Całunie Turyńskim – jest coś z nauki, lecz faktycznie kolejne ekipy całunistów wymyślają coraz to nowe problemy czy tajemnice, i nie ma znaczenia, że np. wczesne wizerunki Jezusa ukazują kogoś zupełnie niepodobnego do wyobrażenia, które trwa do dziś i ustaliło się zapewne w okolicy III w. n.e. Nie ma znaczenia, że nie zgadzają się wymiary przodu i tyłu ciała na wizerunku. Powstają coraz to nowe dowody, np. badacze dopatrują się odbicia rzymskich monet położonych na oczach Jezusa. Dowodów na prawdziwość relikwii będzie coraz więcej i więcej. Ponieważ niezwykłość ludzi fascynuje, a pokazywanie, że coś jest zwykłe – nudzi.

Z upływem czasu ludzie wymyślają coraz to bardziej fantastyczne teorie. Na przykład wspomniane odciski rzymskich monet na oczach Jezusa: dostępne są w sieci zdjęcia Całunu i widać na nich, że... niewiele widać. To kwestia wiary, że plamy w coś się układają. Im więcej mamy czasu, tym większe prawdopodobieństwo, że znajdzie się kolejna wystarczająco niekompetentna osoba, by wysunąć jeszcze bardziej niedorzeczną teorię. Fizyk by prawdopodobnie nigdy nie wpadł na to, że podczas trzęsienia ziemi mają być emitowane neutrony, jednak wystarczyło trochę poczekać, a odpowiedni ignorant się znalazł.

*Adam Cebula*